

## Buty

Było typowe, zwykłe marcowe popołudnie. Nie padał deszcz, trochę chmur, trochę słońca. Wraciałem wtedy z lekcji łaciny u profesora Jachymczyka, ojca *Azjaty*. Lekcje trwały godzinę, od czwartej do piątej i trochę się przeciągały. Wraciałem wolno z ulicy Mickiewicza, gdzieś tam, z za Placu Wilsona do domu, przy Alei Wojska nr 3. Niemcy zmienili tę nazwę na Aleja Sportowa. Nikt jednak tej nazwy nie używał, chyba tylko Biuro Meldunkowe. Gdy przechodziłem z Placu Inwalidów na Aleję Wojska i szedłem dalej do ulicy Śmiałej, usłyszałem gdzieś daleko ze strony miasta serie strzałów i odgłosy wybuchów. Zatrzymałem się chwilę i poszedłem dalej do domu. Drzwi były zawsze otwarte, ale otwierały się ciężko i trzeba je było mocno pchać. Były z kutej stali, obite dyktą i dlatego robiły wrażenie lekkie, ale nie otwierały się łatwo przy pierwszej próbie. W domu nikogo nie było oprócz mego wuja, który zwykle drzemał na swoim łóżku na pierwszym piętrze. Był po lewostronnym wylewie i chodził z trudem. Wyszedłem na taras. Taras i ogród był od strony południowej, od strony miasta. Wtedy usłyszałem mocniejszy wybuch i jakieś strzały. Nie było jasne z jakiej strony. Pobiegnę do kuchni i patrzyłem przez okno, co się dzieje. Podjazd do naszego domu, na Alei Wojska nr 3 i domów nr 7, 5 i 1 był ślepym kawałkiem jezdnii, wybrukowanym klinkierem, kończącym się tuż przed pierwszym wałem Cytadeli. Ten dość stromy wał otaczał i stary bunkier i uniemożliwiał jakikolwiek dalszy przejazd. Po drugiej stronie Alei Wojska, pod nr 4 mieszkał jakiś niemiecki oficer. Rano wychodził w mundurze gdzieś do pracy. Wracał po południu. Pod nr 1 i 5 mieszkali znajomi i porządni sąsiedzi. Pod nr 7 było kilka mieszkań. W jednym z nich mieszkali jacyś bardzo podejrzani ludzie. Ciągłe kręcili się tam Niemcy po cywilnemu, a czasem w mundurach. Patrzyłem na ten podjazd, wał i płot.

Nagle podjechała Dekawka. Szofer wyskoczył pierwszy, otworzył drzwi i zaczął pomagać wsiąść pasażerowi. Silnik pracował głośno, pasażer wysiadał powoli. Tymczasem wyskoczyła z auta jeszcze jedna, jakoś dziwnie mi znajoma sylwetka i we dwóch wzięli pod ramiona pasażera. Zobaczyłem wtedy, że to był Alek Dawidowski, kolega mojego najstarszego brata Andrzeja. W jednej chwili wyskoczyłem przed dom. Otworzyłem szeroko ciężkie drzwi. Stali już przed drzwiami. Alek uśmiechał się uprzejmie i zapytał,

- Czy mógłbym wstąpić, do Państwa?

W tym czasie, szofer siedział już w Dekawce i zaczął zawracać. Jego kolega zaczął wołać

- Nie wygłupiaj się, jak jedziemy, to jedziemy razem!

Dekawka już w tym czasie zawróciła, szofer wychylił się przez szybę i zawołał:

- Zostań tu, jadę sam!

Jego kolega coś zawołał, przerzucił ramię Alka na mnie i wskoczył do ruszającego już auta.

Wchodziliśmy w drzwi, a potem po kilku stopniach do mieszkania. Alek mówił, że jest ranny, że lepiej nie pytać, co się stało, że dobrze byłoby się gdzieś ukryć, bo mogą tu się za chwilę zjawić jacyś... O nic nie pytałem, zrozumiałem, że sprawa jest poważna. Otworzyłem niewielkie ukryte drzwiczki od schowka pod wewnętrznymi schodami na tę część mieszkania, która była na pierwszym piętrze i tam Alek się wsunął. Można tam było leżeć dość wygodnie. Zdjąłem mu buciory. Przymknij te drzwiczki, powiedział, chwilę poczekamy. Przeczekaaliśmy tak nie więcej niż jakieś 10 minut. W tym czasie spokojnie rozglądałem się wokół, czy nie ma jakich niepokojących sygnałów z ulicy. Dekawka musiała zawrócić. Gdyby natknęła się gdzie w pobliżu na bezpośrednią pogoń, to już byłoby to słychać. Nie obeszło by się bez strzelaniny. Wątpliwości można było mieć, co do sąsiadów. Tych wymienionych powyżej. Ale najwidoczniej i z tej strony nie było na razie niczego niepokojącego. Wyszukałem jakiś bandaże, jakąś gazę, ale to nie miało sensu wobec poważnego postrzału w brzuch. Zresztą prawie, że nie krwawił. Wróciłem do Alka. Otworzyłem drzwiczki. On już też chciał się stamtąd wysunąć. Pomogłem mu, jak mogłem i powoli przesunęliśmy się na tapczan tuż obok. Miałem wtedy 12 lat. Był dla mnie olbrzymiego wzrostu. W tym czasie nie spotykało się tylu tak wysokich ludzi. Mówił, żeby lepiej go o nic nie pytać, że jest ranny w brzuch, że potrzebuje lekarza, że zna takiego lekarza, do którego ma zaufanie, czy bym po niego nie pobiegł. Tu niedaleko na Żoliborzu, na Mickiewicza, za fryzjerem. Nazywa się Eustachy Siedlecki, najlepiej żeby od razu zapomniał, jak on się nazywa, ale mieszka chyba w drugiej klatce, wejście od podwórza, chyba na pierwszym piętrze. Mówił, żeby tylko jemu osobiście powiedział co jest i przyprowadził go tu.

Powiedziałem oczywiście, że już lecę, ale niedługo powinien przyjść ojciec i na pewno coś zrobi, jest przecież lekarzem. I poleciałem. Jak najszybciej mogłem. Znalazłem klatkę i mieszkanie, chyba na pierwszym piętrze, Mickiewicza, chyba 24.

Dr Siedlecki otworzył mi drzwi. Początkowo był bardzo nieufny, ale jak dowiedział się kim jestem i w jakiej sprawie, zapytał jeszcze o parę szczegółów, najwyraźniej żeby się upewnić, czy jestem tym kimś, za kogo się podaję i zaczął szybko pakować swoją torbę lekarską, taki mały kuferek. I ruszyliśmy szybkim krokiem do Alka. Po drodze zaczął się niepokoić, że znam jego nazwisko i imię. Musisz zapomnieć, mówił, jak się nazywam, bo to niebezpieczne i dla

mnie i dla ciebie. Nazwisko pospolite i nie szczególnego, ale Eustachy rzadkie imię i mogliby po tym rozpoznać i wytropić. Koniecznie - mówił - zapomnij. Staliśmy już przed drzwiami. Mocne pchnięcie ciężkich drzwi i byliśmy w środku. Alek wyraźnie się ucieszył, gdy dr Siedlecki się zjawił. Natychmiast zabrał się do szczegółowych oględzin, nałożył jakiś opatrunek. Trochę rozmawiali. Potem wyszedł do drugiego pokoju i powiedział mi, że sprawa jest bardzo poważna, że trzeba natychmiast do szpitala i operować, że nawet wtedy szanse na przeżycie są małe, że zrobił, co mógł, ale to niewiele, i żebym nie czekał, aż ojciec wróci tylko od razu uruchomił, co się da, a on sam nie ma kontaktu ze szpitalami, do których można mieć zaufanie.

Nie była to sprawa prosta. Trzeba było przez telefon zawiadomić ojca, tak żeby nikt się nie domyślił podsłuchując rozmowy. Powoli zaczęli się schodzić starsi domownicy: ciotka, nasza opiekunka Panna Janka, matka i w końcu pośpiesznie wrócił ojciec. Zaraz zaczęły się telefony i jakieś rozmowy przerywane dziwnymi zwrotami. Schodzili się też starsi bracia. Kiwali głowami, ale nikt nie wypytywał o szczegóły. Tak było trzeba. Takie były zasady. Wreszcie, już prawie o zmroku przyjechał ambulans z noszami i zabrano Alka do szpitala. Nie wiedziałem dokąd i nie wypytywałem. Mogłem się tylko domyślać, że był to jeden z zaprzyjaźnionych szpitali. Andrzeja nie było i chyba nie wrócił tego wieczoru.

Co dalej stało się z Alkiem, wiadomo. Przeżywaliliśmy wszyscy co raz gorsze wiadomości i jego śmierć i jednoczesną wiadomość, że zginął Rudy, Janek Bytnar. Byli częstymi gośćmi w naszym domu.

Minął kwiecień i maj. Szóstego czerwca przyszła nagle wiadomość, że zginął mój najstarszy brat Andrzej.

Gdzieś w lipcu, a może w sierpniu, na zbiórkach Zawiszaków dotarły do nas pierwsze egzemplarze „Kamieni na szaniec”. Czytaliśmy fragmenty tej książki, o Wojtku, Czarnym i mieliśmy poczucie Wielkiej Misji, poczucie udziału w Wielkiej Grze. Słowa tej książki były dla nas czymś takim jak wyznanie wiary i nadziei. Mieliśmy wrażenie, że my mali, zwykli chłopcy ocieramy się o wielkie czyny. Ta książka wysławiała i ubierała w pełne zdania to, co czuliśmy wtedy: braterstwo, służba, poświęcenie dla Wielkiej Idei. Słowa *Bądź Gotów* nie były dla nas frazesem, *Bądź Gotów* w służbie dla innych.

W tym pierwszym konspiracyjnym wydaniu „Kamieni na Szaniec” nie używano prawdziwych nazwisk. Ze zrozumiałych względów używano pseudonimów. Nie miałem więc najmniejszego pojęcia, że znałem na co dzień Tych, których opisywano w tej książce. Konspiracja obowiązywała wszystkich.

Ludzie ginęli. Wokół nas, ciągle coś się kłębiło i było jasne, że trzeba było trzymać język za zębami. Nie łączyłem tego, co się działo w naszym domu z kartami Tej Książki. Nie śmiałybym.

W pokoju, w którym leżał ranny Alek zostały jego ogromne buty. Moja noga z butem mieściła się swobodnie w jego bucie. Stały tam do Powstania i jeszcze po Powstaniu, kiedy wróciliśmy do zniszczonego mieszkania, w którym można jednak było doprowadzić do użytku jeden pokój. Wtedy dopiero wpadł mi do ręki pierwszy jawnie wydany egzemplarz Kamieni na szaniec. Wtedy dopiero w pełni zrozumiałem co to były za buty.

A kto to był dr Eustachy Siedlecki? Nie wiem. Pytałem wielu ludzi, przeglądałem książki z okresu wojny i konspiracji. Nie znalazłem żadnej wzmianki.

(Azjata – Andrzej Jachymczyk, starszy kolega, harcerz Szarych Szeregów, walczył w Powstaniu 1944 roku na Żoliborzu w plutonie harcerskim 227)